



**Władysław Panas**

**Daas**

**Magiczne miejsce**

*zwija się zaulek zawiły  
zagubiony we własnych załomach*

*J. Czechowicz, elegia uśpienia*

**1.**

Na pierwszy rzut oka wydawać się może, iż mamy tu do czynienia z jakąś lokalną odmianą romantycznej powieści grozy wymieszaną z równie lokalnym wariantem współczesnej powieści kryminalnej. Nietrudno odnieść takie właśnie wrażenie, albowiem są w tej historii wszelkie niezbędne do tego akcesoria: w centrum znajduje się więc, a jakże, grób, a nawet dwa groby, jest również otwarcie komory grobowej i ekshumacja złożonych w niej zwłok i jest, przede wszystkim, najważniejszy protagonista, czyli trup.

Mogę też dodać, żeby trochę tę wybitnie klaustrofobiczną, wszak trumienną, przestrzeń i równocześnie nieco bardziej urozmaicić jej zbyt jednostronnie zdemonizowany wystrój, że wśród mnogich i wielce magicznych - aczkolwiek skądinąd całkiem realnych - krain, jakie rozbłyskują na odległym horyzoncie niniejszej narracji, pojawia się także rozproszone widmo Transylwanii, która jest, o czym wszyscy wiedzą, ojczyzną znanego powszechnie księcia Vlada Draculi. Nie muszę chyba specjalnie podkreślać, że tak zarysowaną scenerię spowija gęsty i ciągle mroczny, chociaż mocno już przysypany szarym i lotnym pyłem zrodzonym przez tutejszy less, całun tajemnicy. Rzecz jasna, wobec rzeczywistości wyposażonej w tego typu cechy, jedynie śledztwo - prowadzone, oczywiście, wedle najlepszych wzorów klasycznej detektywistyki - będzie naturalną i zarazem najwłaściwszą metodą postępowania. Owszem, przedmiot swojego dyskursu zawiera wiele elementów, które w powierzchownym spojrzeniu układają się w literacką fabułę o łatwo rozpoznawalnym rodowodzie gatunkowym, ale literaturą - mimo daleko idących podobieństw - nigdy jednak ów przedmiot nie był. Przywołane bowiem wyżej gotycko-sensacyjne akcesorium odnosi się w całości do biografii - i to jako jej składnik najistotniejszy - jednego z obywateli naszego miasta. Powiem od razu: chodzi o postać niebywale zagadkową i ze wszech miar niezwykłą. Myślę, że nadeszła już odpowiednia pora, aby tę osobliwą postać wyprowadzić wreszcie

z cienia i uhonorować biogramem, na jaki z pewnością zasługuje. Wprawdzie nasze miasto nigdy nie było sanatoryjną czarodziejską górą i żaden Hans Castorp nigdy nie wspinał się na nasze pagórki, aby na ich szczytach odnaleźć zamiast życia śmierć, co znakomicie usprawiedliwiłoby nadumieralność przyjezdnych, lecz przecież nie sposób nie dostrzec, iż przynajmniej kilka osób przybyło tu najwyraźniej tylko po to, żeby spotkać się ze swoim aniołem śmierci: Kochanowski, Czechowicz... Ów człowiek, którego moja opowieść pragnie ożywić, wpisuje się akurat na listę takich przybyszów.

Za życia przebywał u nas bardzo krótko, najwyżej ze dwa tygodnie, ponieważ mieliśmy być jedynie małym przystankiem w jego wędrówce, którą odbywał zresztą nie z własnej woli, ale z woli - i przy boku - kogoś innego. Wola Najwyższa przemieniła jego wizę przejazdową w kartę stałego pobytu. Muszę więc stwierdzić, iż w tej sytuacji znaczenie owego przybysza - dla nas i dla naszego miasta - znaczenie, jak utrzymuję, zupełnie wyjątkowe, polega wyłącznie na tym, że tu właśnie umarł i tu został pochowany, i stąd też będzie - razem z nami wezwany na Sąd Ostateczny. Nie oznacza to wcale, że przyznaję mu prawo do naszego obywatelstwa, mając na uwadze tylko jego tutejsze, powiem niezbyt ładnie, lecz ściśle, zależenie. W związku z tym dorzucę jeszcze taką oto uwagę: mój bohater wniósł - zarówno swoim krótkim tu życiem, jak i swoją tu śmiercią - nader znaczący, chociaż nadzwyczaj specyficzny, wkład w duchowość naszego miasta.

Ten, który go przywiódł w nasze strony, wygłosił kiedyś następującą opinię: „Ze wszech historyj, które dotąd były na świecie, niczem będzie wszystko w porównaniu do naszej historii, która nie rozpowiedziana, ni słyszana była od dnia stworzenia świata!” Nie ma w tych słowach najmniejszej przesady. Otóż w początkowych rozdziałach owej niesłychanej historii, przy której wszystkie inne są niczym, występuje główny protagonista mojej narracji. Maleńki jej fragment rozegrał się także w naszym mieście. Dla naszego - wówczas jeszcze tylko in spe - współobywatela tutejszy fragment okazał się rozdziałem ostatnim i - zaiste - ostatecznym. Jego dalsze dzieje mają już charakter zdecydowanie lokalny i zarazem bezwzględnie zaświatowy. Śmierć dziwnego gościa - przede wszystkim ona - dała miastu sposobność do włączenia się w tę najdziwniejszą z dziwnych historii - włączenia się działaniami, które przekraczają rozmaite nasze i nie nasze wyobrażenia, działaniami dla których nie znajduję analogii. Najpewniejsze informacje, jakie mam o Piotrze - pod takim imieniem wyprawiano go stąd na tamten świat - dotyczą jego pośmiertnych losów. Oczywiście, chodzi o ciało, bo gdzie jest dusza - jak mówi Wieszcz w pewnym wierszu - ja nie wiem. Spróbuję zatem zrelacjonować, możliwie zwięźle, co się działo z ciałem Piotra po tym, jak je złożono w krypcie kolegiaty św. Michała. Pomijam opis procesów biologicznych, dokonujących się w jego zwłokach, gdyż nie sądzę, aby przebiegały tu one jakoś zasadniczo inaczej niż w przypadku każdego innego trupa. Znakomitą prezentacją tanatomorfozy, wystarczającą w zupełności, żeby wyrobić sobie odpowiedni pogląd w tej sprawie, znajdziemy w pracy wybitnego współczesnego trupologa, może zabrzmi nieco lepiej, gdy powiemy kadawerologa. Luisa-Vincenta Thomasa. Zainteresowanych szczegółami odsyłam do jego książki. Ja natomiast skupię się raczej na faktach o znaczeniu symbolicznym. I zacznę od końca, od końca dość odległego od tego końca, jakim był

zgon Piotra i jego pochówek, albowiem ostatnie uchwytnie wydarzenie w tej pozgonnej biografii miało miejsce niemal dziewięćdziesiąt trzy lata później. To ostatnie - jak na razie - wydarzenie rozegrało się w dwóch płaszczyznach równocześnie: w płaszczyźnie zdarzeń całkowicie realnych i w płaszczyźnie zdarzeń kompletnie symbolicznych. W sferze faktów realnych rzecz przedstawia się może i dramatycznie - na pewno dramatycznie! - ale przecież nienadzwyczajnie. Kiedy bowiem gubernator rosyjski nakazał rozebrać archanielską świątynię, miasto musiało pomyśleć, co zrobić ze szczątkami pochowanych w niej zmarłych. Postanowiono je zebrać i przenieść na miejscowy cmentarz do mogiły zbiorowej. W ten sposób powstało swoiste, bo niezamierzone, lecz wymuszone okolicznościami, tutejsze ossuarium. Stanowi ono jedną z paru osobliwości (wypada do nich zaliczyć także dwa inne ossuaria, utworzone ze szczątków przewiezionych z pozostałych kościołów, które rozebrano w XIX wieku, oraz groby wolnomularzy z miejscowej loży „Wolność Odzyskana” i dwuwyznaniowe - katolicko-ewangelickie - kwatery na cmentarnej granicy) naszej nekropolii. Nie mogę powiedzieć, że świętomichalskie ossuarium odznacza się oszałamiającą urodą plastyczną, mimo to opiszę je trochę dokładniej, ponieważ kryje w sobie doczesne szczątki Piotra i jest jedynym - prawie - materialnym śladem jego tu obecności. Ma ono kompozycję wprawdzie przejrzystą, lecz wcale złożoną: na trzech trójkątnych płytach, położonych płasko na ziemi, ustawiono pionowo czwarty trójkąt, utworzony z trzech innych, połączonych ze sobą trójkątów. Całość ma zatem kształt niewielkiej piramidy. To dobry, jak wiadomo, kształt dla budowli, która pragnie zachować i przenieść w wieczność to, co uległo zniszczeniu. Roger Caillois przytacza z aprobatą pogląd pewnego filozofa, który zauważył, „że wieczność piramid płynie z ich podobieństwa do pryzmy piasku - zbudowano je tak, jak gdyby od razu były ruiną”. Na trójkącie, który chce uchodzić za czołowy, znajduje się napis: „Tu spoczywają szczątki zmarłych przeniesione w dniu 27 maja 1852 r. z grobów b. kościoła parafialnego św. Michała wystawionego przez Leszka Czarnego króla polskiego w roku 1282”. Symbolika, jaką umieszczono na tej piramidce, jest dosyć typowa: krzyż, oczywiście trupia czaszka, dwie skrzyżowane pochodnie odwrócone płomieniem w dół. Uwagę zwraca jedynie motywika artystyczna ulokowana, powiedzmy, na jednym z „bocznych” trójkątów. Widzimy tu bowiem lirę, dużą gałązkę wawrzynu albo cyprysu i głowę wąsatego mężczyzny w wieńcu laurowym. Nie pomylimy się, aczkolwiek nie ma żadnego podpisu, gdy rozpoznamy w tych wyobrażeniach bezpośrednie odniesienie do osoby Sebastiana Klonowica. Z licznej i anonimowej zbiorowości zmarłych nasze miasto postanowiło wydobyć postać najznacniejszą. Piotr, mówmy otwarcie, przybłęda przecież, nie mógł żadną miarą konkurować z miejscowym poetą i patrycjuszem, nie należy więc mieć do nikogo pretensji, że go nie wyróżniano osobną symboliką. Prawdę mówiąc, sam nie wiem, jakimi znakami plastycznymi dałoby się go wyodrębnić, bo te, które przychodzą mi dzisiaj do głowy, z pewnością nie pomieściłyby się w ówczesnych - i nie tylko - głowach.

Tyle w wymiarze faktów realnych i poniekąd zwyczajnych. Wymiar zaś symboliczny polega tu na tym, iż dokonując wymuszonej translokacji szczątków zmarłych ludzi do pozakościelnej nekropolii, wykonano przy okazji znany szeroko w kulturach i wielokrotnie opisywany przez

tanatologów obrzęd powtórnego pochówku. W kulturach typu tradycyjnego podwójna ceremonia pogrzebowa - drugi pogrzeb był czasami realizowany w wiele lat po pierwszym - miała fundamentalne znaczenie zarówno dla zmarłego, jak i dla wspólnoty żywych. Służyła mianowicie do zatwierdzenia ostatecznego statusu nieboszczyka jako osoby całkowicie zintegrowanej ze światem żywych i umarłych. Włączała go w ów świat jako postać już na zawsze oswojoną i bliską całej społeczności. W wypadku Piotra gest ten, powtórzę, niezamierzony i zapewne w ogóle nieświadomy, miał szczególne znaczenie symboliczne. My jednak potrzebujemy jeszcze nieco czasu, żeby się z tym faktem oswoić. Zostawiamy więc w tym miejscu zintegrowanego trupa mojego bohatera - niech się nadal z nami integruje. A my z nim.

## 2.

Co to jest Daas? Albo też, bo i taką pisownię spotykamy - Das? ów człowiek, którego stworzona przez niego wspólnota nazywała Panem, a nawet - muszę to oznajmić mimo w pełni uzasadnionego zgorszenia, jakie może ta informacja wywołać - Panem Najświętszym, rzekł kiedyś do swoich zwolenników:

Gdy godnymi będziecie przyjść do Ezawa, wówczas godni będziecie wiedzieć, co to jest słowo Das, gdyż Das jest tylko dwa słowa, a cały świat nie ma żadnej wiadomości o tym, co rzecz jest ukryta, i jeszcze ukryta, i jeszcze raz ukryta.

W tej akurat kwestii myślę analogicznie: na taką wiedzę, jakiej nie ma cały świat, albowiem jest ona przed nim starannie, po trzykroć, ukryta, a która przy tym jest tak wielka, że do jej sformułowania wystarczą jedynie dwa słowa, mieszczące się zresztą swobodnie w jednym, trzeba po prostu i bezwarunkowo zasłużyć. Zdaję sobie sprawę, że już na odległość pachnie tu dość intensywnie jakąś gnozą, ale w tym momencie nie mogę temu w żaden sposób zapobiec. Niestety, poetyka - moja i mojego przedmiotu, czyli poniekąd wspólna - przymusza mnie, abym brnął dalej. Przyparty zatem przez tę nieubłaganą poetykę do muru, dorzucam jeszcze parę dodatkowych uwag w podobnym stylu, żeby dojść lub chociażby zbliżyć się tylko do źródła takiej wiedzy, wpierw należy odpowiednio, przede wszystkim duchowo, przygotować się. Sądzę więc, że będzie najlepiej, oczywiście, dla was, jeśli odnajdziecie możliwie szybko właściwą drogę i wyruszycie nią bezzwłocznie na pielgrzymkę, która powinna trwać aż do czasu, gdy osiągniecie wymagany poziom godności. Taka wędrówka przygotowuje też was, niejako ubocznie, na bezpieczne przyjście owej wiedzy. Trzeba bowiem nam wiedzieć, iż chodzi o rzecz wcale niebezpieczną zarówno dla waszego ducha, jak i dla waszego ciała. Ten, którego nazywano Panem, powiedział o tym wprost do swojej kompanii: „*Gdybym wam odkrył i wytłumaczył te wiersze, to byście padli ze mdłości, i któż by was ratował?*” No, właśnie. Kto ocuci was, jeśli pomdlejecie? Nie widzę tu nikogo takiego.

Zachowamy się przecież znacznie rozsądniej, kiedy skupimy się na jakimś konkretnym, który będzie dla wszystkich dostępny. W takim razie proponuję - zamiast przedczesnych odpowiedzi na

przedwcześnie zadane pytania - żebyśmy postali jeszcze przez chwilę przy archanielskiej nekropolii, której nadano charakter lokalnego ossuarium. Jeśli mój dyskurs zatrzymuje się na cmentarzu, to bynajmniej nie dlatego, że kieruje nim *amor mortis*. I proszę też nie traktować mojej propozycji jako wyzwania do udziału w ćwiczeniach z zakresu *ars moriendi*. Dzisiaj nie przychodzimy tu po to, aby utwierdzać się w melancholii. Nawiasem mówiąc, w mieście tak mocno nasyconym melancholią, jak nasze, szukanie jej na cmentarzu byłoby już nadmierną perwersją. Dzisiaj nie przychodzimy tu także po to, aby pobudzać nasze wanitatywne obsesje. Nawiasem mówiąc, w naszym mieście *vanitas* ma się całkiem dobrze i nie musimy jej poszukiwać aż na cmentarzu. Dzisiaj nie występujemy tu nawet w roli, czego zresztą ogromnie żałuję, pasterzy arkadyjskich z obrazu Nicolasa Poussina i oczom naszym nie objawi się tajemnicza inskrypcja: *Et in Arcadia Ego...* Może kiedy indziej, dzisiaj nie. Z największym też chyba trudem zdołałbym precyzyjnie przez gardło stwierdzenie, że zatrzymał nas tu podziw - wszak nader umiarkowany - jaki żyjemy dla wytworów miejscowej sztuki sepulkralnej. Oddalam również wszystkie asocjacje malarskie, zwłaszcza że brak mi pewności, czy w pejzażu, który nas tu otacza, da się uchwycić znaczące podobieństwo do tych cmentarnych pejzaży, jakie znamy z płócien, powiedzmy, Jacoba van Ruisdaela albo Caspara Davida Friedricha. Tym razem stajemy więc przed wybranym konkretem, czyli przed świętomichalską piramidą grobową, bez zwykłych w takiej sytuacji intencji i skojarzeń tematycznych.

Stoimy i wpatrujemy się w trójkątny kształt dokładnie tak, jak ten ktoś, kto u Paula Celana (w *Mandorli*) wpatruje się w migdał. Z początku widzimy to samo, co on, czyli nic:

W migdale - co tam stoi w migdale?

Nic.

Nic stoi w migdale.

Stoi tam i stoi

Naturalnie, pamiętam: ktoś już kiedyś zachwycił się *Mandorlą* Celana i od zapisu tego zachwycenia rozpoczął swój romans z tekstem. Jeśli teraz z kolei ja wprowadzam ten wiersz do mojego romansu z miastem, to przecież nie dlatego jedynie, że całkowicie podzielim ów zachwyt, ale raczej dlatego, że najściślej opisują pozycję, w jakiej się znajdujemy. Nie bez znaczenia, aczkolwiek nie umiem owego znaczenia precyzyjnie określić, jest dla mnie także fakt, że poeta z Bukowiny urodził się i spędził młodość - nazywał się wówczas Paul Anczek - w tym samym mieście, w którym dwa stulecia wcześniej mieszkał przez kilkanaście lat najgłówniejszy bodajże bohater mojej narracji. Powiększa to znaczenie, ciągle jednak niejasne, też i taka okoliczność, że również inne postacie, także należące do naszej historii, stąpały po tej samej ziemi, co autor *Mandorli*. Oczywiście, w takim kontekście do rangi nieomal symbolicznej, chociaż nadal nie wiem dokładnie, o jaki symbol chodzi, urasta w końcu i ten fakt, iż w owej grupie odnajduję przynajmniej kilku ludzi, którzy mieli na imię Anczel. Wpatrując się zatem w to nic, co stoi w trójkącie archanielskiej piramidy, możemy dalej czytać wiersz Celana:

W niczym - kto tam stoi? Król.  
Stoi tam król, król.  
Stoi tam i stoi.

Tak jest zawsze: długie i cierpliwe wpatrywanie się w coś, co wydaje się niczym - a może rzeczywiście jest niczym? - przynosi wprost królewską nagrodę - na naszych oczach nic wypełnia się czymś. Ostatecznie bowiem chodzi zawsze o nasze oczy: jakie one są i czy chcą coś zobaczyć. Fundamentalne w tej sprawie pytanie jest pytaniem właśnie o oko: „A twoje oko - ku czemu stoi oko?” Fundamentalna zaś odpowiedź brzmi tak:

Ku migdałowi stoi twoje oko.  
Ku nicości stoi twoje oko.  
Stoi ku królowi.  
Stoi tak i stoi.

W migdałowej nicości - u nas ma ona formę trójkąta - ku której, stoi nasze oko, znajduje się więc król i jakaś o nim opowieść. Bruno Schulz, żeby teraz dla odmiany przywołać kogoś, kto mieszkał w połowie drogi między nami a Czerniowcami - miastem Celana oraz paru innych bohaterów na czele z tym najważniejszym, otóż Bruno Schulz, który również stanął przed nicością skrytą w najgłębszych Podziemiach:

Tu są te kolumbaria, te szuflady na umarłych, w których leżą zaschnięci, czarni jak korzenie i czekają na swój czas. Tu są te wielkie drogerie, gdzie stoją na sprzedaż w łzawnikach, tyglach, słojach. Stoją latami w swych regałach, w długich uroczystych porządkach, choć nikt ich nie kupuje. Może ożyli już w przegrodach owych gniazd, już całkiem ozdrowieni, czyści jak kadzidło i wonni - specyfiki, obudzone niecierpliwie leki, balsamy i maści poranne wążące swój wczesny smak na końcu języka. Te zamurowane gołębniki pełne są wykluwających się dziobków i najpierwszego, próbującego, świetlistego ćwierkania. Jak porannie i przed wszelkim czasem robi się nagle w tych pustych i długich szpalerach, gdzie umarli budzą się rżędem, głęboko wypoczęci - do całkiem nowego świtu!...

Też zobaczył w finale monarszą fabułę: *To jest historia o porwanej i zamienionej księżniczce*. My, którzy jeszcze tak daleko nie zaszliśmy, możemy na razie powiedzieć tylko tyle: to jest historia człowieka uwiedzionego, porwanego i przemienionego przez Daas.

W *Legendzie* Czechowicz napisał: *spojrzeniem obłoki przebrał trójkąt mądre oko boże*. Trzymajmy się tego wersu. Kiedy już tu tak stoimy i stoimy, zanotujmy także - bo nie wiem, czy będziemy mieli lepszą sposobność - i tę obserwację: wydaje się, że to wielokrotnie trójkątne ossuarium świętomichalskie nie tylko przykrywa przeniesione ze świątyni prochy zmarłych, ale również swoim kształtem nawiązuje bezpośrednio do trójkątnych form, jakie cechowały bądź samą świątynię (dachy prezbiterium i nawy), bądź jej najbliższe otoczenie (trójkąt z Chrystusem na ścianie mansjonarii). Trudno, rzecz jasna, obecnie stwierdzić, czy to nawiązanie było jakoś zamierzone, czy też tak się jedynie nieświadomie, czyli archetypowo „złożyło”. Jeszcze trudniej

jednak rzecz, czy liczne nieszczęścia (epidemia cholery), klęski żywiołowe i kataklizmy (nieurodzaj, powódzie), jakie nawiedzały miasto i jego okolice w połowie lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku - pisze o tym Kajetan Koźmian w pamiętnikach - miały jakiś związek z lekkomyślnym zachowaniem mieszkańców, którzy z nie najcięższym wszak sercem przystali na zburzenie anielskiej *Axis Mundi*.

Rzecz dziwna, ale zburzenie kolegiaty św. Michała przyczyniło się najwyraźniej do wydobywania z mroków niepamięci zarówno osoby, jak i dzieła Sebastiana Klonowica. Czyżby nastąpiło tu coś w rodzaju duchowej rekompensaty? Gesty, jakie wówczas wykonało miasto, aby upamiętnić największego ze swoich nielicznych poetów, były dość skromne i zarazem bardzo swoiste. Kompletny ich zestaw otwierają - omówione już wcześniej - anonimowe wprowadzie, lecz dostatecznie czytelne zdobienia umieszczone na jednym z boków rurskiego ossuarium. Pozostała część memorialnej gestykulacji skupiła się wokół oryginalnej tablicy nagrobkowej poety, którą - ocalała szczęśliwie z architektonicznego pogromu - przeniesiono do katedry i przyozdobiono - nader nieszczęśliwie - dodatkowymi elementami. Najważniejsze składniki, wszystkie niestety nieudane, tego nowego wystroju są takie: wyimaginowany portrecik Klonowica, podpis z kłującym w oczy błędem w dacie śmierci poety, lichy czterowiersz Koźmiana - lichy artystycznie i zafałszowany w warstwie informacyjnej, bo obciążający winą za zniszczenie świątyni jedynie czas („Zniszczył czas pomnik Leszka ku czci Archaniola”) jakby ludzie nie brali w tym żadnego udziału! Natomiast naprawdę zdumiewające wydarzenia - cała seria! - rozegrały się poza naszym miastem. Rozpoczęły się one już dekadzie poprzedzającej proces rozbiórki kościoła - czy była to jakaś antycypacja losów świątyni i złożonych w niej prochów poety? - i trwały z dużym natężeniem przez całą dekadę po przeniesieniu szczątków autora *Worka Judaszów* do mogiły zbiorowej. Rozpoczął się ów zdumiewający ciąg zdarzeń edycją dzieł Klonowica w Lipsku (1836) i zakończył edycją jego pism w Krakowie (1858). To w porządku bibliografii podmiotowej. W porządku zaś bibliografii przedmiotowej „sprawa Acerna” zaczyna się szkicem Kraszewskiego (1843), a zamyka powieścią Zachariasiewicza (1862). Kiedy tu wydobywano z krypty pozostałości z doczesnej powłoki Klonowica - przypominam, rok 1852 - w Wilnie Syrokomla ogłosił swój przekład *Roxolanii*. Kiedy tu wznoszono na cmentarzu świętomichalską piramidę, po kraju rozbiegły się kolejne teksty o poecie: poemat Pruszkowej (1855), gawęda Syrokomli (1856), opowiadanie Zachariasiewicza (1857).

Całkiem inne konsekwencje miała ekshumacja zwłok człowieka, który odszedł stąd do wieczności jako Piotr. Owszem, powtórny pochówek zapewnił mu udział we wszelkich korzyściach, jakie daje integracja, także pośmiertna, ale integracja ma też - jak wiadomo - swoją cenę: wspólna mogiła zatarła kompletnie ślady jego pozgonnej odrębności. Cenię wartości wspólnotowe, lecz przecież dałbym wiele, żeby zobaczyć nagrobek Piotra w kościele św. Michała. Wyjęcie z grobu jego szczątków i przeniesienie ich na nowe miejsce było również zapowiedzią podobnej operacji, jaka odbyła się czternaście lat później w odległym mieście nad Menem. Analogiczny los spotkał wówczas zwłoki najważniejszej osoby w biografii Piotra - osoby, która była dla niego Mistrzem i Panem. Ta późniejsza „operacja” wyglądała poniekąd podobnie, ale jej

wynik okazał się bezwzględnie okrutny, ponieważ podczas ekshumacji odłączono od reszty kości czaszkę Pana. Odtąd zaczęła wieść samodzielny żywot - żywot typowego przedmiotu kolekcjonerskiego. Ale to już - jak się mówi w takich sytuacjach - zupełnie inna historia.

### 3.

Powinienem napisać ten tekst w maju 1852 roku, bo wydaje się, że o Piotrze już wtedy nic w Lublinie nie wiedziano. Dlatego też jego szczątki były dla ówczesnych mieszkańców miasta tylko zwykłymi szczątkami jakiejś dawno zmarłej, nieznaney osoby, która nie pozostawiła w zbiorowej pamięci żadnych praktycznych śladów. Ot, po prostu jeden z szeregowych członków dość licznej populacji nieboszczyków, którzy znaleźli schronienie - wyszło na to, że przedostatnie - w podziemiach kolegiaty św. Michała Archanioła, a których teraz, czyli w maju 1852, eksmituje się i przenosi do mogiły zbiorowej.

Zsypane na płachtę kości Piotra nie zatrzymały na dłużej bodajże niczyjej uwagi. Z wyjątkiem grabarzy, oczywiście. Nie sądzę bowiem, żeby któryś z tutejszych ksiąząt duńskich przypatrywał się grabarskiej robocie i przy tej okazji westchnął nad jego czaszką - niechby cytatem - „Biedny Yorku!” Nikt też chyba nie przywołał nad ową płachtą obrazu tych zgoła sensacyjnych wydarzeń, jakie się tu rozegrały jesienią 1759 roku...

20 albo może 24 października 1759 roku odbył się pogrzeb Piotra. Sprawę dat dziennych pozostawiam tymczasowo na boku - nie będziemy przecież zajmowali się w tak podniosłej chwili detalami. Od razu natomiast chcę stwierdzić, że jest to bardzo ważne wydarzenie w biografii naszego bohatera, rzecz można, jego prawdziwe historyczne pięć minut, rozciągnięte w tym wypadku na parę godzin, ponieważ dopiero na swoim pogrzebie zaistniał - naturalnie, cokolwiek specyficznie - właśnie jako osoba publiczna. Opis pochówku Piotra króciuteńki, lecz wymowny, wyjmuję z kroniki, jaką zredagowano kilkadziesiąt lat później w środowisku ludzi, z którymi przyjechał do Lublina.

Dnia 24-go zaprowadzono go do fary do kościoła z procesjami, wszystkie Cechy i pospólstwo i Pan sam z ludźmi szedł go wyprowadzać, gdzie go w sklepieniu pogrzebano, a solenne przy tym było kazanie. Pan rzewnie podówczas płakał.

Przytoczona w powyższej notatce charakterystyka ceremonii pogrzebowej znajduje potwierdzenie w sprawozdaniach sporządzonych przez postronnych obserwatorów. Jednym z nich był ksiądz Konstanty Awedyk, jezuita, który wprawdzie nie uczestniczył bezpośrednio w lubelskich wypadkach, ale dysponował jednak dobrymi informacjami, gdyż z wielką pilnością - jak to się dzisiaj mówi - monitorował całą tę historię. Otóż ksiądz Awedyk w swojej relacji, ogłosił ją w 1760 roku we Lwowie, wspomniął również o pogrzebie Piotra, którego ciało - wedle jego sformułowania - „z piękną okazałością i z liczną procesją do kościoła kolegiaty prowadzone” było. Duchowny



sprawozdawca zanotował także, kto przemówił - wszak „solenne przy tym było kazanie” - nad trumną zmarłego. Lecz niech nas o tym powiadomi Hipolit Skimborowicz, albowiem i on zasłużył, aby go umieścić w niniejszej opowieści. W 1866 roku (w tym samym roku w gabinecie dr. Ottona von Speyera, dyrektora banku we Frankfurcie nad Menem, pojawił się nowy bibelot: czaszka Pana) w takiej oto parafrazie podał Skimborowicz tę informację o kaznodziei i o pochówku Piotrowych zwłok: „ciało z wielkim przepychem do kościoła Kolegiaty wprowadzono, a kanonik Brzeski DP. dr mowę stosowną wygłosił”.

I to już właściwie wszystko, co o pogrzebie Piotra mówią źródła. Niewiele tego. Ale nie narzekajmy zbytnio, ponieważ otrzymaliśmy jednak wcale wyrazisty, choć mocno skondensowany obraz wydarzeń.

Jeśli zechcemy, możemy go przecież zawsze rozwinąć. Wystarczy tylko odwołać się do wiedzy i wyobraźni. Do wyobraźni żeby zobaczyć, do wiedzy - żeby zrozumieć. Wyobraźnia pozwoli nam wziąć udział w uroczystościach pogrzebowych, rzecz jasna, nie w głównym kondukcie, gdzie duchowieństwo i panowie bracia, patrycjat miejski i palestra trybunalska, procesje i wszystkie cechy, gdzie wreszcie i przede wszystkim - Pan sam z ludźmi, tam nie, bo aż tak bogatej wyobraźni to my, wbrew pozorom, nie mamy. My wystąpimy tu sobie skromnie - na szarym końcu żałobnego zgromadzenia, razem z pospólstwem, w ciżbie, wśród zwykłych łyków i żadnej sensacji gawiedzi ulicznej. Że mało widać i prawie nic nie słyszać? Ktoś, kto przebywa w takim jak my punkcie czasoprzestrzeni, niech się cieszy, że jeszcze w ogóle coś widzi i słyszy z tamtej epoki. Wiedza dostarczy naszym oczom i uszom niezbędnych w tej sytuacji objaśnień, bez których ta żałobna ceremonia mogłaby wydać się czymś zupełnie innym. Moglibyśmy mianowicie odnieść wrażenie, że uczestniczymy w imprezie, która ma więcej wspólnego z karnawalem niż z pogrzebem. Pewien komentarz erudycyjny będzie nam potrzebny, gdyż pogrzeb w 1759 roku to nie to samo, co pogrzeb w 1998 roku.

Zacznę od lokalizacji grobu Piotra. Pochowano go w kościele, czyli *ad sanctos* przy świętych. Tego typu pochówek przez długie stulecia był najwyższym, jeśli tak wolno powiedzieć, wyróżnieniem dla zmarłego. Umieszczenie grobu w obrębie świątyni wymagało więc specjalnej zgody odpowiednich władz kościelnych: co najmniej proboszcza danej parafii, często - biskupa. A o taką zgodę nie było łatwo, albowiem chodziło o przestrzeń nie tylko fizycznie bardzo ograniczoną. Nic dziwnego zatem, że pochówki na terenie świątyni podlegały niezwykle ścisłej reglamentacji. W praktyce grzebano w ten sposób niemal wyłącznie duchowieństwo. Jedynie zwłoki stosunkowo nielicznych *fideles laici* (wierni świeccy) dostępowały takiego zaszczytu. Na grób w określonym kościele mogły liczyć tylko osoby wybitnie dla niego zasłużone - materialnie i duchowo - fundatorzy i dobroczyńcy, władcy i szlachta, patrycjat i zamożne mieszczaństwo. Reszta wiernych - *apud ecclesiam*, czyli w pobliżu kościoła: na cmentarzach przykościelnych, faktycznie w grobach masowych, bo nie oznakowanych. Przypominam ten fragment z dziejów obyczajów grzebalnych po to, abyśmy lepiej pojęli, jak duże znaczenie miał pochówek Piotra w „sklepieniu” kościoła św.

Michała. Rangę owego wyniesienia podkreśla dodatkowo również i ten fakt, iż kościół św. Michała był wówczas najważniejszą świątynią w mieście, podwójnie najważniejszą - jako kościół farny i jako kolegiata.

Teraz o „pięknej okazałości” pogrzebu Piotra. Autorzy tekstów, których cytowałem wyżej, wypowiadają się na ten temat co prawda lakonicznie i trochę ogólnikowo - „piękna okazałość”, „wielki przepych”, „liczna procesja” lub nawet „procesje”, „wszystkie cechy i pospólstwo”, „solenne kazanie” - ale dzięki historykom kultury wiemy, co się kryje pod tymi określeniami. Osiemnastowieczny czytelnik nie miał najmniejszych trudności z ich konkretyzacją, gdyż „piękną okazałość” obrzędów pogrzebowych znał z autopsji. My takich akurat doświadczeń nie posiadamy, a te, które posiadamy, są niewiele warte. Dlatego też - żeby „piękną okazałość” wypełnić jakąś głębszą treścią - zamiast pójść na najbliższy pogrzeb, biegniemy do najbliższej biblioteki uniwersyteckiej. Zresztą biblioteka i cmentarz są do siebie podobne, a zawód, jaki uprawiam, przypomina jako żywo fach dozorczy nekropolii, ponieważ - jak napisał kiedyś dzisiejszy nieboszczyk Jean-Paul Sartre

krytyk to w większości wypadków człowiek, któremu nie dopisało szczęście i który, w chwili gdy wpadł już w rozpacz, znalazł skromną, spokojną posadę strażnika cmentarnego. Bóg jeden wie, czy cmentarze są spokojne; nie ma weselszych niż biblioteka. Są tam zmarli, którzy wyłącznie pisali; od dawna zmyto z nich grzech życia, a zresztą ich życie znane jest tylko z książek, które pisali o nich inni zmarli. [...] pozostały tylko małe trumienki, ustawione na półkach wzdłuż ścian, niczym urny w kolumbarium. Krytykowi źle się powodzi, żona nie ceni go tak, jak by należało, synowie są niewdzięczni, a koniec miesiąca trudny. Lecz zawsze można wejść do biblioteki, wziąć z półki książkę i otworzyć. Ulatnia się z niej lekka woń piwnicy i zaczynają się osobliwe zabiegi, które on postanowił nazywać czytaniem. Pod pewnym względem jest to rodzaj opętania: oddaje się zmarłym swoje ciało, aby mogli ożyć. Pod innym - to kontakt z zaświatem.

Wystarczy. Przeczytaliśmy co trzeba i bez dalszych już retardacji rozszyfrowujemy te skąpe wzmianki o pochówku Piotra: wynika z nich niezbicie, że ów obrzęd miał formę, która nas obecnie mocno szokuje, bo to była prawdziwa, sarmacka i barokowa *pompa funebris*! W kulturze sarmackiej pogrzeb (także i inne uroczystości okazjonalne) przekształcił się we wspaniałe, starannie wyreżyserowane widowisko, trochę jakby z gatunku światło i dźwięk, widowisko z rozbudowanym scenariuszem, z bogatą scenografią, z elementami choreografii nawet. Słowem - *theatrum funebris*, w którym *sacrum* splatało się z *profanum*, liturgia ze sztuką, modlitwa z grą, żal z podziwem. Tadeusz Chrzanowski tę efemeryczną sztukę naszych możnych przodków nazywa „sarmackim happeningiem” - ja powiedziałbym: raczej teatr alternatywny - i dodaje refleksję ogólniejszą: „niczego, absolutnie niczego, całkiem nowego nie da się już wymyślić, artyści - *lasciate ogni speranza!*” tamta epoka miała w tych sprawach taki właśnie gust - no, i gest - i zgodnie z nim pochowała Piotra.

Widowisko jest więc przednie, jesienny chód nikomu nie dokucza, gawiedź - jak to zwykle

bywa z gawiedzią - ma otwory gębowe rozwarte maksymalnie, chociaż nic nie rozumie z oracji księdza kanonika Brzeskiego, ale gdzie tu powód do jakiejś szczególnej sensacji, skoro wszystko mieści się w standardach swojego czasu? Spróbujmy jednakowoż posłuchać nieco uważniej solennego kazania księdza kanonika - może się czegoś dowiemy. Jego mowy nikt nie zarejestrował, lecz nie mamy z tym większego kłopotu, gdyż wiemy, jak mówił. Wiemy, bo dobrze znamy poetykę sarmackich oracji - ostatecznie mieszkamy w mieście, w którym Wojciech Bystrzonowski wydał w 1740 roku sławetny, wielokrotnie potem wznawiany, podręcznik retoryki użytkowej: *Polak, sensat w liście, w komplementach polityk, humanista w dyskursie, w mowach statysta, na przykład dany szkolnej młodzi*. Nie wątpię, że wymienione kwalifikacje, bez żadnego wyjątku, nasz kaznodzieja posiadał był w stopniu przynajmniej zadowalającym. Domyślamy się też, o czym musiał mówić ksiądz Brzeski, albowiem znamy głosy innych duchownych, opowiadających wówczas o tych wydarzeniach. Dolatują zatem do nas takie mniej więcej strzępy z homilii pogrzebowej uczonego kanonika: coś o „złości żydowskiej przeciwko Bogu i bliźniemu, prawdzie i sumieniu”, coś o „błędach talmudowych” i o „przeklętych talmudystach”, coś o „zawstydzeniu żydowskiego urągania” i o „dworniejszych okolicznościach nawrócenia do wiary świętej kontratalmudystów”. Czyli coś o Żydach. Miejscowa gawieź może wszakże i nie pojmuje subtelnych wywodów sarmackiego kaznodziei, ale swoje wszakże wie: w naszej starej kolegiacie chowają Żyda, nadzwyczaj dziwnego Żyda, jakby nie-Żyda, gdyż kontra-Żyda, tego, co to niedawno przyjechał do miasta i tu w śmiertelnej chorobie chrzest z wody przyjął. A teraz prowadzą go wielką pompą i paradą, ze śpiewami i świecami, z procesjami i przemowami. Jak się nazywał? Nie wiadomo. Jak miał na imię? Nie ważne. Przecież nie przyszliśmy go, broń Boże, oplakiwać, lecz tylko popatrzeć, bo czegoś podobnego świat jeszcze nie widział: ani tu u nas, ani gdzie indziej, ani wcześniej, ani później. Kiep nad kiejami, kto przegapiłby taki spektakl.

#### 4.

Kiedy ciało Piotra złożono wreszcie w „sklepieniu” i kiedy przebrzmiały ostatnie modlitwy, a wszyscy dostojni i mniej dostojni uczestnicy pogrzebowej liturgii oraz ci całkiem niedostojni gapie, co tłoczyli się na Grodzkiej, rozeszli się już byli definitywnie, udając się czy to bezpośrednio do swoich stacji, żeby strudzone pyszną niewątpliwie, lecz też trochę męczącą, uroczystością członki rozciągnąć czym prędzej w pościeli, czy to do pobliskich traktierów i kafenhauzów, żeby przy grzonym piwie albo krupniku porozmawiać jeszcze o przedziwnym sensie tej dopiero co zakończonej, zaiste, niecodziennej manifestacji, w jaką przekształcił się - alboż można było tego uniknąć? - pochówek niecodziennego wszak nieboszczyka, w opustoszałej farze pozostał tylko Pan i jego ludzie.

Ale powiedzmy o tym, posługując się formułą owych „ludzi”: *Pan sam z ludźmi*, bo jej nie zamierzona oksymoroniczność dobrze pasuje do człowieka, który był jednym wielkim i najzupełniej zamierzonym oksymoronem. I wydaje się, że Pan - oczywiście, razem ze swoimi

towarzyszami - musiał spędzić wiele czasu w kościele św. Michała, gdyż cytowana tu już kronika zawiera pewną informację, która pośrednio może odnosić się właśnie do tej sprawy: *Nazad powracając kole 11-tej w nocy...* Wiadomo, że wszelkie uroczystości, pogrzeby również, trwały wtedy bardzo długo, lecz trudno przyjąć, aby pogrzeb Piotra, jeśli nawet był wyjątkowo uroczysty, co oznacza także: niezmiernie długi, miał się skończyć o 11 w nocy! (Jan Doktor widzi w tym miejscu cyfrę „12”. Sądzę, że w rękopisie, do którego odwołuję się, opowiadając o tych wydarzeniach, jest raczej cyfra „11”. Tak lub inaczej pora to dość późna.) Chociaż trzeba przyznać, pogrzeb mógłby znakomicie korespondować z tą niepokojącą aurą tajemniczości, jaka otaczała Pana i jego grupę. Jestem jednak przekonany, że tutejszym organizatorom żałobnej ceremonii wcale nie zależało na podtrzymaniu tej aury. Wprost przeciwnie... Pompa, z jaką wyprawiono Piotra w zaświaty, odsłania intencję odmienną: wystawić na widok publiczny - choćby na katafalku - występujące w owej historii *dramatis personae*, rozproszyć - choćby światłem gromnicy - kłębiącą się wokół nich ciemność, zwerbalizować - choćby w formie kazania - nie wyartykułowane do końca motywy ich działania. Zatem przesłanki rozmaitej natury pozwalają wysnuć przypuszczenie, iż uroczystość w kolegiacie zakończyła się o jakiejś przyzwoitej porze. Naturalnie, porą najbardziej „przyzwoitą”, jeśli pozostać przy tej moralizatorskiej metaforze, jest dzień. Jeszcze „przyzwoitą” - rzecz dzieje się w październiku i dni są już krótkie - popołudnie. Ledwie „przyzwoitą” - takie mam poczucie - wczesny wieczór. Ale nie głęboka jesienna noc! Noc jest pod tym względem zdecydowanie „nieprzyzwoita”.

Sekretna kronika skupionej wokół Pana wspólnoty (przeznaczona, jak wszystkie zresztą pisma tej wspólnoty, wyłącznie do wewnętrznego użytku i pilnie strzeżona, dodajmy, przez bardzo długi czas nader skutecznie) opisuje wydarzenia z 20 (albo 24) października 1759 roku nadzwyczaj zwięźle: poświęca im raptem trzy zdania, dwa o pogrzebie Piotra i jedno o powrocie z pogrzebu. (Jan Doktor niepotrzebnie interweniuje tu w składnię i robi z tych dwóch pierwszych zdań trzy. Ja wolę trzymać się wersji oryginalnej, czyli rękopiśmiennej.) Skrypt niniejszy usiłuje ten skąpy zapis nieco poszerzyć - analogicznie postępuję z innymi fragmentami owej kroniki - dopisując do niego coś w rodzaju komentarza. Mam niejaką nadzieję, że mój tekst nie upodobni się zbytnio do tego dziwnego tworu, o którym pisze Schulz w *Księdze*:

Ale w dalszym ciągu staczał się ten skrypt żaloszny w coraz głębszy upadek. Teraz zszedł na bezdroża wątpliwej jakiejś szarlatańskiej mentyki. W długim płaszczu, z uśmiechem na wół pochłoniętym przez czarną brodę, któż to prezentował się do usług publiczności. Pan Bosco z Mediolanu, swego znaku mistrz czarnej magii, i niedługo i niewyraźnie, demonstrując coś na końcach palców, co nie czyniło rzeczy zrozumiałą. I choć w przekonaniu własnym dochodził do zadziwiających konkluzji, które ważyć się zdawał przez chwilę między czułymi palcami, zanim ich lotny sens nie uszedł z palców w powietrze, i choć pointował on subtelnie przeguby dialektyki ostrzegawczym podniesieniem brwi, przygotowującym na rzeczy niezwykle, nie rozumiało się go, a co gorsza, nie pragnęło nic rozumieć i pozostawiało się go z jego gestykulacją, z przyciszonym tonem i całą skałą ciemnych uśmiechów, ażeby przekartkować szybko ostatnie, rozpadające się w strzępy stronicę.

Jednak - błyska nam w głowie zbawczy koncept - rola pana Bosco z Mediolanu, „swojego znaku” mistrza czarnej magii, nie jest znowuż taką najgorszą dla nas perspektywą, albowiem należy pamiętać, iż właśnie w tym upadłym skrypcie objawiła się Schulzowemu bohaterowi Księga. A wiele sygnałów wskazuje, że tylko w takiej postaci - żalostnej i upadłej - jest ona nam w ogóle dostępna. W dzienniku Jeana Guittona znajduję mądrą radę, za którą warto pójść: *Notować, notować, aż do chwili, kiedy notatek tych nie przeświecili wielka nadzieja*. Brnijmy więc z naszym ciemnym uśmiechem cierpliwie dalej.

Tymczasem próbuję wyjaśnić, co się mogło wydarzyć w tej luce czasowej, jaka istnieje w kronikarskim zapisie między ostatnim zdaniem (*Pan rzewnie podówczas płakał.*) miniaturowej sekwencji „pogrzebowej” a zdaniem mówiącym o powrocie z uroczystości (pierwsza jego ćwiartka, jak pamiętamy, brzmi: *Nazad powracając kole 11-tej w nocy...*), i dochodzę do wniosku, że w owej wyrwie mieści się najprawdopodobniej, kilkugodzinny pobyt Pana oraz jego kompanii w kościele Św. Michała. Ostatecznie, nie ma w tym niczego dziwnego, że po tak szumnym i tłumnym obrzędzie zapragnął wyciszenia przy grobie - jak pisze ksiądz Awedyk - *jednego z najpoufalszych swoich ludzi*. Miał też wystarczająco dużo powodów, aby rozmawiać tu z Bogiem długo i dramatycznie. Oto bowiem w rozwijającej się dotąd pomyślnie misji, tuż przed jej - jak mu się wydawało - chwalebny finałem w Warszawie, pojawiła się niespodziewanie przerażająca rysa: otworzyła się na oścież otchłań szeolu. Dla niego, który głosił, że ci, co za nim pójdą, nie umrą nigdy, zgon Piotra musiał być potwornym wstrząsem. Trudno stwierdzić, czy zdołał dostrzec - tak jak my, którzy znamy jego przyszłość - w owym bolesnym wydarzeniu złowróżbny znak, zapowiadający nader przejrzyście i bezpośrednio wieloletnią epokę rozlicznych nieszczęść i klęsk, jakie wkrótce staną się jego udziałem. W każdym razie ten katastroficzny dla niego scenariusz, obfitujący w różnorodne plagi ze śmiercią najbliższych na czele - iście egipska moc paschalna! - zaczął się powoli realizować akurat tu u nas w Lublinie. Odtąd śmierć będzie szła za nim trop w trop (*Śmierć - tuż za nim spore czyni kroki* - pisze poeta), uderzając coraz bliżej i bliżej... Jak w tragedii greckiej albo w *Biblii*... Streści nam ów dramatyczny okres Schulzowski obraz, który biorą z odrzuconego wariantu *Wiosny*.

Tak rosła ta obca i twarda noc wiosenna w swej głębi od plag i klęski i wśród rehotu jej gwiazd rozmnażały się żaby, węże i robactwo wszelkie w rośnych przestworzach i roila się na całej przestrzeni od tajnego dziania się, a w sędnie jej otwierała się ciemność labiryntami pokoi, czerwonych komór, malowanych szuflad, w których gwałtownie umierali pierworodni, a drzewi zatrząskiwały się za lamentem rodziców.

Za dwa tygodnie powędruje na tamten świat następny z *najpoufalszych*, za niecały rok śmierć zabierze pierworodnego synka Pana, który nosił wysoko symboliczne imię Emanuel, za cztery lata urodzi mu się kolejny syn, Jakub, ale i on umrze w dzieciństwie. Zgon żony zamknie wreszcie tę okrutną dekadę. Być może trzeba dołączyć do tej tragicznej listy także ostatnie dziecko Pana, tajemniczą Józefę Franciszkę. (Jedyny i bardzo wąty ślad jej istnienia to notatka w kronice z 1769

roku: *Dnia 13 marca urodziła się córka. Nazywała się Józefa Franciszka. Dnia 14 ochrzczona była.* Tyle tylko o niej wiemy. Więc może niebawem umarła? Dlaczego jednak nie ma na ten temat żadnej wzmianki ani pedantycznej pod tym względem kronice, ani w innych dokumentach wspólnoty? Może więc spotkał ją los, bez wątpienia lepszy niż przedwczesna śmierć *porwanej i zamienionej księżniczki*, której postać często nawiedzała jej ojca?). To wszystko wydarzy się w przyszłości - niedalekiej, choć wydaje się odległa. Teraz Pan rozmawia jeszcze z Bogiem w lubelskiej kolegiacie. Lecz pora zamykać wrota świątyni.

*Nazad powracając kole 11-tej w nocy, rozkraczył Pan końce swej szaty i dał ją dwóm trzymać, a reszta żeby się trzymających trzymała węzłem, i tak szedł przez miasto do Pałacu.* Pyszna scena, trochę jakby surrealistyczna! Cóż to za cudaczny korowód wyruszył z kościoła św. Michała w tamtą październikową noc! Jeśli ktoś obserwował wówczas przemarsz tego osobliwego łańcuszka przez nasze miasto, mógł pomyśleć, że ma do czynienia z jakimś mocno podchmielonym towarzystwem, które wytoczyło się z szynku i żeby utrzymać się jako tako na nogach, a i też nie pogubić się w nie oświetlonych uliczkach, przedsięwzięło taki właśnie środek zaradczy. Ot, taka sobie pijacka pragmatyka albo - jak kto woli - fantazja. Nic więcej. I zapewne wcale by do głowy nie przyszło temu wirtualnemu obserwatorowi, że jest świadkiem szczególnej odmiany ważnego aktu mistycznego, występującego w wielu systemach symbolicznych pod nazwą *coniunctio*. Pan, który miał w repertuarze spory zestaw tego typu aktów, określał go mianem *połączenia*. Był to rytuał służący do podtrzymywania zachwianej przez różne wypadki - tu śmiercią Piotra - jedności grupy współwyznawców. Widzimy ich, jak idą (*stąpają posłowie nocy w ciężkich szatach z buczačkih makat* - czytamy u Czechowicza) ulicą Grodzką, przechodzą obok Trybunału i znikają nam z oczu w Bramie Krakowskiej. A dalej - gdzie? Skierują się od razu w lewo? Pójdą prosto i dopiero po pewnej chwili skręcą w lewo? Pójdą prosto i później skręcą w prawo? Gdzie jest ten pałac, do którego zmierzają? Gdzieś w mroku, który przykrywa nasze miasto, lecz gdzie dokładnie - nie wiadomo. Wypatrujemy jednak pilnie. Mam w tej sprawie dodatkową wskazówkę: człowiek, który prowadzi ów korowód duchów, ma na sobie czerwoną szatę. Wiem, w obecnych warunkach taka informacja jest mało użyteczna, ale przecież kiedyś skończy się ta noc i wtedy może coś zobaczymy.

## 5.

Ten ostatni powidok (czarna dziura Bramy Krakowskiej, która wtedy, czyli 20 lub 24 października 1759 roku, około 11 w nocy, pochłonęła powracającego z pogrzebu Pana wraz z jego osobliwie skomponowanym orszakiem) doprowadził nas już bezpośrednio na skraj sennej otchłani. Jak to radził Gombrowicz? „Wejdz w sferę snu”.

Wchodzę, bo może w ten sposób zdołam ustalić, w którym z lubelskich pałaców zatrzymał się wówczas ten samozwańczy Mesjasz ze swoją świtą. Zatem wszystko posnęło. Świat cały. Niczym w słynnej *Wielkiej elegii dla Johna Donne'a* Josifa Brodskiego. W naszej małej elegii uśpienia śpi

(gdzieś tu niedaleko, w jednym z tutejszych pałaców) Pan z ludźmi swymi. Pozwólmy mu spokojnie spać i śnić, gdyż to ostatnia jego noc w naszym mieście. Jutro stąd odjedzie. Zainteresuje się więc raczej własnym snem. I niech nam coś powie o nim miejscowy poeta:

sen życie ujął  
osłoda sen ciężki a nieważki  
piękne zjawy sennie kołują  
w krwawych ciemnościach czaszki

Wprawdzie zjawy (piękne!) nie przestają kołować sennie w krwawych ciemnościach czaszki, ale niektóre fragmenty tej fantasmagorii materializują się jednak... Kolor zakrzepłej krwi? Dawno zakrzepłej. Chyba nie. Skóra jest gładka, przyjemna w dotyku, ale już nieco powycierana i dlatego nie ma jednolitej barwy. Próbują ją określić. To jakiś rodzaj brązu. Jaśniejszy trochę - tam gdzie naskórek stał się bardziej. Ciemniejszy - w innych miejscach. Ochra? Sangwin? Ugier? Może tak, może inaczej. Zatem rubin? Albo bursztyn. Lub miód, stary miód? Miedź? Możliwe. Wszystko możliwe. Żeby tej sprawy nie komplikować nadmiernie, umówmy się, że będziemy ten kolor nazywali cynamonowym. Nie taję, że chodzi mi o nawiązanie do tajemniczych „sklepów cynamonowych” Brunona Schulza. Pamiętam przecież, co w nich było:

Mogłeś tam znaleźć ognie bengalskie, szkatułki czarodziejskie, marki krajów dawno zaginionych, chińskie odbijanki, indygo, kalafonium z Malabaru, jaja owadów egzotycznych, papug, tukanów, żywe salamandry i bazyliuszki, korzeń Mandragory, norymberskie mechanizmy, homunkulusy w doniczkach, mikroskopy i lunety, a nade wszystko rzadkie i osobliwe książki, stare folianty, pełne przedziwnych rycin i oszałamiających historyj.

Ów manuskrypt ma także niezwykłą zawartość. Na razie dokonuję tylko jego zewnętrznej autopsji. Właśnie jestem przy opisie okładek, które mają cynamonową barwę. Cynamonowy rękopis, tajemnica cynamonowego rękopisu. Nieźle brzmi, nieprawdaż? Ale idziemy dalej z naszą deskrypcją. Solidnie oprawione w świńską, najprawdopodobniej, skórę okładki posiadają również pewien element zdobniczy. Nader skromny, lecz dobrze widoczny. Otóż na obydwu okładkach umieszczono złoty prostokąt w kształcie falistego szlaczka z grzbietami fal skierowanymi do środka - złoty prostokąt, obrysowujący niejako od wewnątrz prostokątną powierzchnię okładziny. Nie wyczuwam pod palcami żadnego wgłębienia, więc pewnie złocenie to wykonano bez tłoczeń. Także grzbiet książeczki przyozdobiono takimi samymi (kilka poprzecznie ułożonymi) falującymi złotymi szlaczkami. Złotą farbą pomalowano też wszystkie grzbiety kart. Słowem, sporo tego złota, które tu pobłyskuje ciemno i zielonkawo. Cynamonowy rękopis i stare na nim złoto. Nie ulega wątpliwości, że wystrój ten ma swoją urodę: dyskretną, ale wysmakowaną i w dobrym gatunku. Powiedziałbym nawet, że jest to arystokratyczna uroda.

Teraz otwieram cynamonowy manuskrypt i patrzę na forzac, czyli introligatorską wklejkę, która łączy wewnętrzne strony okładek z zasadniczym blokiem książeczki. Natomiast rzuca się w oczy

kolorystyczny kontrast: wklejka jest wielobarwna i dość jaskrawa. Jak „tapeta”. Rozmaite brązy i żółcie, trochę złota, gdzieś czern. Wzór trudno uchwycić, bo wszystko jest tu splątane. Nie ma wyraźnych linii, lecz da się przy odrobinie dobrej woli zauważyć coś w rodzaju pewnego typu „ziarnistej struktury albo też coś, co przypomina mocno zamazaną „mapę”. Jakieś „skupienia”, ale czego - nie wiadomo. Jakieś „rzeki i „dorzecza”, jakieś „laguny” i „wyspy”, jakieś „meandry” i „labirynty”. Może jednak trzeba ten wzór kojarzyć ze wschodnim kobiercem? Doprawdy nie wiem, co o tym myśleć. Ma ten barwny chaos jakąś symbolikę, czy jej nie ma? Ta, która przychodzi mi w tej chwili do głowy, wydaje się zbyt naciągana. Studia nad teorią fascynacji oraz lektura Schulza i... Dostojewskiego (nie myślę się, proszę zwrócić uwagę na rolę żółtych tapet w klitce Raskolnikowa) upewniają mnie, że takie „tapety” mają zawsze swoje znaczenie. Być może wrócę jeszcze kiedyś do tej wyklejki, w niej bowiem, jak się zdaje, odbija się „cała jaskrawość” relacjonowanej historii.

Kiedy po raz pierwszy wziąłem do ręki ten rękopis, poczułem się cokolwiek zawiedziony, gdyż spodziewałem się, że będzie miał zupełnie inną barwę. Oczekiwałem, że będzie cały czerwony; w czerwonych okładkach, czerwonym atramentem napisany, z czerwoną wyklejką. Dlaczego. Bo czerwień jest podstawowym kolorem człowieka, o którym tu piszę. Ubierał się przeważnie na czerwono, mówił o symbolice czerwieni w swoich wielce ezoterycznych naukach, niektóre pisma sporządzone przez skupioną wokół niego wspólnotę były czerwone. W silnie zmitologizowanej recepcji dziejów tego człowieka można spotkać opinię, że swoją doktrynę spisał w częstochowskim więzieniu własną krwią. Nasz manuskrypt tego wszystkiego nie potwierdza, przynajmniej w warstwie zewnętrznej. Owszem, motyw czerwieni występuje w paru miejscach tekstu, ale całość została napisana czarnym atramentem.

Studiuje uważnie ten rękopis, z maksymalną pedanterią, wedle zaleceń niegdysiejszych mistrzów filologii (dzisiejsi nie mają głowy do takich spraw, ponieważ operują dyskietskami, a one - wszak martwe przedmioty - nie są tajemniczymi obiektami), aby przeniknąć jego tajemnicę. Ale nie tylko chodzi mi o tajemnicę. Dwa inne momenty są dla mnie równie ważne. Po pierwsze, to jedyny materialny ślad tej historii, jaki znajduje się w naszym mieście. Szczególnie istotny, bo bezpośredni. Miała go w rękę córka Pana. Powstał z jej nakazu i w jej domu. Jeszcze dzisiaj czuję ciepło jej dłoni na cyrkonowych okładkach. Mój wzrok przesuwają się po tych samych stronach, które i ona czytała. Nie wiem, jak dla kogo, ale dla mnie takie rzeczy liczą się niezmiernie. Po drugie, historia, którą staram się rekonstruować, jest tak niezwykła i nieprawdopodobna, że mogę jej przeciwstawić jedynie - jako formę obrony przed tą fantastyczną nadzwyczajnością - twardą, bezwzględnie obiektywną i ścisłą analizę. A i tak - wiem to - pozostaną w opisie szczeliny wypełnione tajemnicą. Perforacja dyskursu wydaje się czymś nieuchronnym, proliferacja znaczeń jest prawie pewna. Podziurawiony dyskurs i rozplenione sensory - taki los nas czeka. Próbuję, jak mogę, stawić mu opór. To, co się powie o wymiarze materialnym będzie - być może - jedyną względnie pewną wiedzą. Ów tajemniczy byt, jakim jest Księga, byt mistyczny i magiczny, ma przecież też swoje fizyczne wcielenie. Opisać tę cielesność - oto moje dzisiejsze zadanie.



Zatem trochę pomiarów. Format okładki: 20 x 12,5 cm. Format kart: 19 x 11 cm. Papier lekko pożółkły. Czysty, bez linii, bez kratek, lecz zapisany równiutko. Gęsto prążkowany w filigranie, pionowo i poziomo. Linie pionowe odległe od siebie o 2,5 cm. Liczne prążki poprzeczne. Prawdopodobnie można będzie określić papiernię, ponieważ na kartach widoczne są fragmenty znaków wodnych. Niestety, okazuje się, że mam z tym kłopot, gdyż znak firmowy znajdował się w środku arkusza, który został pocięty w poprzek kartki. Jego strzępy odnajduję w rozmaitych miejscach rękopisu. Jakieś litery, jakiś napis, jaki rozmazany obraz. Zaczynam składać tekst. Bładoniebieski znak wodny ujawnia swą słowną treść: FRIEDRICH WILHM... Tylko tyle mogę odczytać. Więc imiona. Drugie niezbyt czytelne. Czyżby król pruski Fryderyk Wilhelm? Ale który? Ten oznaczony cyfrą II czy ów sygnowany liczbą porządkową III? Pierwszy panował w latach 1786-1797, drugi zaś w latach 1797-1840. Gdybym rozerwał manuskrypt i złożył kartę na powrót w arkusz, mógłbym to ściśle ustalić. Bez obawy, nie będę tego robił. Zresztą nie muszę, bo swoje i tak wiem. Rękopis spisano na papierze pruskim, który wyprodukowała królewska papiernia. Nad tłoczonym napisem znajduje się ikona wodna: w owalnym wieńcu (przypomina się *Mandorla Cellana* „w migdale - co tam stoi w migdale?” Wiemy już co stoi w migdale: król. „Stoi tam i stoi.”) popiersie władcy. Najlepiej da się rozpoznać koronę. To już jest coś, kolor mnie trochę rozczarował, lecz papier, nie! Pan miał królewskie ambicje, jego dzieje oraz słowa znalazły się - a jakże - na królewskim papierze. Pełna satysfakcja. Wszystko się zgadza.

Muszę powiedzieć, że wiem również (bez tej całej analizy), gdzie powstał lubelski manuskrypt. Podają dokładny adres: Offenbach, miasto nad Menem, niedaleko Frankfurtu, dwupiętrowy dom, który pod koniec XVIII wieku nazywano Fürstliches Palis, na rogu ulicy Canalstrasse (od 1876 Kaiserstrasse) i Judenstrasse (od 1876 Grosse Marktstrasse). W latach 1796-1816 mieszkała tam rodzina Pana, córka Ewa i dwaj synowie Roch i Józef, wraz ze swoim dworem. Dziewiętnastowieczne losy tego domu opisał Aleksander Kraushav. Co tam jest dzisiaj? Hotel? Galeria jakaś lub muzeum? Może budynek wyburzono i postawiono w tym miejscu budowlę zdecydowanie mniej mistyczną: bank albo supermarket? Nie wiem.

Wiem natomiast, że rękopis ów jednoznacznie spokrewnia nasze miasto z tym niemieckim miastem. Wiem także, że napisana tam Księga (nasz manuskrypt jest jej istotnym fragmentem) wróciła do jednego z tych miejsc, gdzie łączy się jej akcja. Zgodnie ze starą kabalistyczną nauką, iż u kresu czarów wszystkie rzeczy powinny powrócić do swego źródła.

## 6.

Wiadomo: kiedy rozum śpi, budzą się potwory. A jednak, nie bacząc na ryzyko, chcę przedłużyć tę ostatnią noc i ostatni sen Pana w naszym mieście. (Mam nadzieję, że w końcu zasnął, chociaż - jeśli wziąć pod uwagę okoliczności nie jest to takie całkiem pewne, a może nawet dość wątpliwe.) Ogromnie zależy mi na tym, aby tu jeszcze z nami trochę pobył. Ten, kto mówi (lub pisze), żeby

powstrzymać bieg wydarzeń: naśladować Szeherazadę. Ba! Łatwo powiedzieć wykonać trudno. I wcale nie chodzi o powody ściśle literackie. Wręcz odwrotnie. Podziwiając bowiem, jak najsluszniej zresztą, narracyjny kunszt mądrej i pięknej córki wezyra, najczęściej zapomina się, że niesłychana skuteczność jej sztuki - ocaliła przecież życie - miała swe źródło w umiejętnym połączeniu kreacji i prokreacji, albowiem przez tysiąc i jedną noc nie tylko opowiadała swemu władcy czarodziejskie baśnie, ale także w tym czasie trzykrotnie zaszła z nim w ciążę i powiła mu trzech rozkosznych synów. Ostatecznie to właśnie ten potrójnie udokumentowany związek estetyki i erotyki przesądził o szczęśliwym zakończeniu jej historii. Jakże nam, mnie zwłaszcza, równać się z nią! Jak bardzo nasze możliwości, moje zwłaszcza, są z tego punktu widzenia ograniczone! Mówiąc szczerze - niemoc doskonała. Niestety, nie jestem ani piękną (nawet umownie), ani mądrą (nawet pozornie) córką wezyra i nijak nie mogę zająć w ciążę (niechby urojoną), i nie zdołam urodzić mu żadnego (choćby wirtualnego) dziecięcia. Ot co!

A ja nadal nie wiem, gdzie mieszkał Pan podczas swego pobytu w Lublinie. Zamieszczona w cynamonowym rękopisie kronika mówi tylko, że był to pałac. Który? Wszystkie bodaj lubelskie pałace przetrwały (mniej ważne, w jakim stanie) do naszych czasów. Sprawa dotyczy zatem budowli wciąż istniejącej. Chyba nie trzeba specjalnie rozwodzić się nad tym, jakie też znaczenie miałyby dokładna identyfikacja tego pałacu. Chcę zwrócić jedynie uwagę, że w ten sposób moglibyśmy dorzucić do tych paru osobliwości naszego miasta, które już znamy i którymi tak lubimy się szczycić, jeszcze jeden konkretny związek z osobistością dotąd w ogół nieobecną w tutejszej świadomości, a osobliwą przecież w stopniu najwyższym. Moglibyśmy mianowicie, wskazując palcem, orzec: Tu w październiku 1759 roku mieszkał człowiek, który uważał się za Mesjasza. I tu umarł jego zaufany wyznawca, którego pochowano z istic sarmacką pompą w krypcie kościoła Św. Michała. Jak widać, ta gra, czyli moje dochodzenie, warta jest więc świeczki - sporej świeczki.

Tymczasem utknąłem w martwym punkcie. Zatrzymuję narrację i kluczę, wprowadzam dygresje i odbiegam od tematu, pozwalam, aby mój dyskurs zwijał się zawile i gubił we własnych załomach jak Czechowiczowski zaulek z *elegii uspienia*, próbuję zyskać na czasie jak Szeherazada, bo ciągle wierzę, że otrzymam (nie wiem skąd, lecz to akurat wcale mnie nie martwi) jakąś wskazówkę (wszystko mi jedno, w jakiej postaci: dokument albo i sen), która pomoże ustalić, gdzie u nas zatrzymał się ów samozwańczy Zbawca. Na razie tkwię w niewiedzy, ale jestem, że się tak wyrażę, przy nadziei. Powiem nieco dokładniej: już teraz coś wiem i mam też pewne niejasne sygnały dodatkowe. Lecz właśnie - sygnały są niezbyt czytelne, a co do informacji, jakie posiadam, to brak mi pewności, czy mają jakiś bezpośredni związek z głównym przedmiotem mojego śledztwa. Weźmy taki przykład: wprawdzie nie wiem, w którym pałacu mieszkał Pan, ale wiem - i to od dawna - w którym pałacu spoczywa ów rękopis, zawierający relację o jego pobycie w Lublinie. Nader mglista intuicja podpowiada mi, że należy w tym dostrzec określone przesłanie. Jakie? Znam pewną historię chasydzką (często ją przytaczam), która interpretowałaby ten fakt bardzo ambiwalentnie: może ma jakieś znaczenie, a może nie ma, może miejsce jest ważne, a może

zupełnie nieważne. Nie zaszkodzi nikomu, jeśli przytoczę - po raz kolejny tę opowieść. Oto ona:

Kiedy Baal Szem Tow, pan Dobrego Imienia, stawał przed trudnym do wykonania zadaniem, wyprawiał się w ustronne miejsce w lesie, rozniecał ognisko i pogrążał w modlitwie. To, co miał zamiar osiągnąć, realizowało się pomyślnie.

W następnym pokoleniu Wielki Magid z Międzyrzecza znajdował się w podobnej sytuacji, więc również szedł w to samo miejsce i mówił: "Nie mogę już rozniecić ogniska, ale mogę nadal modlić się". I to, co pragnął urzeczywistnić, dokonywało się.

Gdy minęło jeszcze jedno pokolenie, rabbi Mosze Leib z Sasowa także miał trudny problem do rozwiązania. Szedł do lasu i mówił: "Nie umiem już rozpalić ogniska, nie znam tajemnych medytacji ożywiających modlitwę, lecz przecież znam to miejsce w lesie, gdzie te wszystkie cuda dokonywały się i to powinno wystarczyć". I rzeczywiście wystarczyło.

Minęło kolejne pokolenie i cadyk Izrael z Rużyna miał podobne zmartwienie, co wszyscy jego wielcy poprzednicy. Rozsiadł się więc wygodnie w fotelu w swoim pięknym pałacu i przemówił: „Nie możemy rozpalić ognia, nie znamy już odpowiedniej modlitwy, nawet nie wiemy, gdzie znajduje się to miejsce w lesie, ale przecież możemy opowiedzieć historię o tym, jak to wszystko odbywało się. Powinno wystarczyć”. I opowieść cadyka była tak samo skuteczna, jak działania jego poprzedników.

Otóż to. W tej chwili nie potrafię rozstrzygnąć, czy znajduję się na poziomie Bal Szem Towa, czy też w sytuacji cadyka-sybaryty z Rużyna. Otrzymaliśmy pocieszenie w zupełnie innej kwestii: morał wypływający z chasydzkiej opowieści osłabia troszeczkę pesymistyczną dla nas, dla mnie zwłaszcza, wymowę historii pięknej i mądrej córki wezyra. To powinno wystarczyć - doraźnie. A Pan niech sobie jeszcze śpi między okładkami cynamonowego rękopisu. Z budzeniem nie ma co się spieszyć. Myślę, że potwory budzą się przede wszystkim wtedy, kiedy rozum nie śpi.

## 7.

Nasz sen - mój i twój, jeśli chcesz mi towarzyszyć - jeszcze się nie skończył i, prawdę mówiąc, nic nie wskazuje, żeby miał się ku końcowi, ale w cynamonowym rękopisie ta noc po pogrzebie Piotra wreszcie przeminęła i nastał dzień: 25 (tak jest w kronice, która stanowi podstawę mojej relacji) albo 21 (tak podają inne źródła) października 1759 roku. Dla Pana i jego kompanii - ostatni już dzień w Lublinie. Zaraz ruszą w dalszą drogę, lecz zanim to nastąpi...

Widzimy, jak wynurzają się z sennej mgły, bardzo porannej i bardzo jesiennej, i gdzieś idą - zjawy uformowane w ów wielce dziwaczny orszak. Na czele kroczy on. Jest ubrany w długą - prawie aż do samej ziemi - czerwoną turecką szatę. Na głowie ma wysoką, też czerwoną, bałkańską czapkę futrzaną. Za nim podąża reszta ludzi. Dwóch najbliższych uchwyciło się kurczowo skraju

jego krwawej sukni. Następna para uczepliła się z kolei tej dwójki. Ich zaś - para kolejna. A na końcu drepcze, trzymając się oburącz tych, co przed nim, pojedynczy osobnik. Siedmiu mężczyzn, których czerwony człowiek, najwyraźniej, ciągnie za sobą. Wszystko to dzieje się w pejzażu mocno nasyconym jesiennymi plamami, wśród złota, rudości i rozmaitych odmian czerwieni. Można więc i tak powiedzieć: jedna plama jest w tym obrazie ruchoma. Właśnie ją śledzimy. W którą zatem stronę przesuwa się ten niezwykle różaniec?

Wprawdzie w naszym rękopisie tylko dwa zdania mówią o wydarzeniach tego dnia, ale od informacji, jaką zawierają, może zakreślić się nawet w całkiem tęgiej czaszce. (Pamiętasz przecież te wersy Czechowicza: *piękne zjawy sennie kołują/ w krwawych ciemnościach czaszki.*) Ściślej rzecz biorąc: szokujące jest jedynie zdanie pierwsze. Drugie natomiast - bez rewelacji. Posłuchaj i nie zemdlej:

Dnia 25 poszedł Pan z ludźmi do Bernardynów, a klękawszy przed wielkim ołtarzem zaczął sam śpiewać Signor mostro, a z nim wszyscy z wielkim głosem i płaczem strasznym, i przy tym Igułę i Burechio, i kilka Psalmów. Po tym wyjechali do Warszawy.

I co? Nic? Coś mi się zdaje, że przytoczony fragment nie wywarł na tobie specjalnego wrażenia. Dostrzegam w twoich oczach starannie maskowane (żeby nie zrobić mi przykrości?) rozczarowanie i wcale ci się nie dziwię, bo na pierwszy rzut oka (na drugi zresztą też) rzeczywiście nie ma tu niczego nadzwyczajnego. Domyślam się, że tylko te trzy tytuły nieznanych pieśni zwróciły twoją uwagę, lecz skoro ich nie znasz, trudno oczekiwać, aby miały dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie. W takim razie spróbuję wyjaśnić, co się wtedy wydarzyło u Bernardynów, czyli w dobrze nam znanym kościele św. Pawła. I najlepiej chyba będzie, gdy od razu oznajmię, o co w tym wszystkim chodzi. Otóż dokonała się tam rzecz wprost niesłychana: do położonego w samym centrum miasta kościoła wszedł ze swoją świtą człowiek w czerwieni i w białutki dzień, nie oglądając się na nic i na nikogo, odprawił przed głównym ołtarzem jakieś dzikie oraz absolutnie heretyckie modły. Czegoś takiego nie doświadczyła, nigdy i nigdzie żadna czynna świątynia katolicka! Takich śpiewów i takiej liturgii nie da się odnieść do żadnej ze znanych nam religii. Ani to bowiem chrześcijańskie, ani żydowskie, ani muzułmańskie. Albo inaczej - trochę chrześcijańskie, trochę żydowskie i odrobinę jakby muzułmańskie. Jedynie psalmy nie budzą podejrzeń i są tu na swoim miejscu. A te inne pieśni? Skąd się wywodzą.

Z przebiegu całej historii, której niewielki tylko epizod rozegrał się w naszym mieście, zdaje się wynikać, że najważniejszą z nich była *Iguła*. Nazywano ją także *Pieśnią rabiego Izraela Nagary*. Nagara to szesnastowieczny poeta hebrajski i zarazem kabalista z kręgu Izaaka Lurii. Zbiór jego liryków religijnych zatytułowany *Semirot Jisrael*, ukazał się w Wenecji w 1599 roku. *Iguła* jest pieśnią kabalistów wierzących w bliskie nadejście Mesjasza, który przyniesie ostateczne zbawienie i ustanowi na Ziemi swoje wieczne królestwo. Nie muszę dodawać, że tym zbawcą nie będzie Ten, w którego wierzą chrześcijanie. Jeśli nie On, to kto? *Signor mostro*, oczywiście (w transkrypcji

niewiele poprawniejszej: *Sinior mo'aistro*). Lecz kto nim jest? *Pan nasz*. Kogo w tych pieśniach tak się nazywa? Odpowiedź znajdziemy w tekstach napisanych w ladino. (Pomyśl tylko: u nas, w naszym zacnym kościele św. Pawła - ladino! Język Żydów sefardyjskich. Hiszpański z domieszką portugalskiego i Bóg wie jeszcze czego.) Ten, który ma tytuł *Signor mostro* głosi chwałę Sabbataja Cwi jako prawdziwego Mesjasza. On właśnie, jak wiadomo, zainicjował ów przerażający i równocześnie fascynujący (jakaś odmiana *mysterium tremendum* i *mysterium fascinans* Rudolfa Otto) ruch mesjański, jaki ogarnął Żydów w XVII i XVIII wieku. Tekst drugi, *Burechio* lub dokładniej: *Mio dio Baruchja*, jest litanią, w której przyzywa się na pomoc jednego z następców Sabbataja, niejakiego, lecz stanowczo nie nijakiego, Baruchję Ruso. Był on Mesjaszem wyjątkowo obleśnym, chociaż z pewnego punktu widzenia także wyjątkowo pociągającym, ponieważ wprowadził do zgromadzonej wokół siebie wspólnoty orgię seksualną jako integralny składnik obowiązującego rytuału. Wśród wyznawców Sabbataja oraz ich potomków, których Turcy nazywali *dönme*, czyli konwertyci, gdyż za swoimi fałszywymi prorokami i jeszcze bardziej fałszywymi Mesjaszami przeszli (pozornie) na islam, tworząc wielce oryginalną sektę żydowsko-muzułmańską, pieśni te miały status kultowych hymnów. Donmeńczycy gnieździli się głównie w Salonikach, ale ich wpływy lub też - jak kto woli - macki rozciągały się praktycznie na całe Bałkany.

I oto tę bałkańską zarazę przywłócił Pan do nas. I wyśpiewał ją wielkim głosem u św. Pawła. Zdumienie Bernardynów musiało być przeogromne. Nic z tego nie rozumieli, chociażby z powodów językowych, gdyż śpiewano po hebrajsku i w ladino, ale tyle przecież wiedzieli: nie po katolicku, nie po chrześcijańsku. Płacz straszny, krzyk wielki, obłędne melodie turecko-bałkańskie, turecki strój czerwonego mężczyzny. Demon jakiś, aczkolwiek już częściowo (z wody) ochrzczony? Kim są ci ludzie i cóż to za obrzęd. Ludzie, z których składał się orszak Pana? Ależ proszę, podaję ich pełny spis według cypryjskiego rękopisu: Mojsche, Herszele, Nachmar, Hajm Kopyczyński, Hajm Reblisz, Icek Minkiewicz, Jeruchem, Icek Reblisz. Rabbi Mojsze (tak go się w kromce bardzo konsekwentnie nazywa) umarł i został pochowany w kościele farnym jako Piotr, lecz dla nich pozostał tym, kim był zawsze: rabbim Mojsze. Przyszli więc tu, do św. Pawła, aby pożegnać się z nim po swojemu. Odśpiewali, co mieli odśpiewać, i pojechali do Warszawy. Kiedy tam umrze następny ich towarzysz, Herszele, też będą śpiewać *Signor mostro*, *Igulę* i *Burechio*. A gdy jeszcze później sąd kościelny, wszak bardzo zaniepokojony tymi heretyckimi śpiewami, będzie ich indagował na okoliczność owych tajemniczych pieśni, Pan wykrzyknie słowa, które miały przynieść im ukojenie: „Szczyjcie na ten ogień”. Po prostu. Teraz już wiesz?

**Pierwodruk:**

- cz. 1 „Na Przykład” 1998, nr 4, s. 38-39.
- cz. 2 „Na Przykład” 1998, nr 5-6, s. 40-41.
- cz. 3 „Na Przykład” 1998, nr 9, s. 40-41.
- cz. 4 „Na Przykład” 1999, nr 3-4, s. 36-37.
- cz. 5 „Na Przykład” 1999, nr 6-7, s. 28-29.
- cz. 6 „Na Przykład” 2000, nr 3-4, s. 32-33.

cz. 7 „Na Przykład” 2001, nr 1, s. 40-41.